Rok XXVII. Listopad i grudzień 1903. Nr. 11 i 12.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k 40 h. Dla nauczycieli Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie pl Bernardyński 7 dotąd wszystkie pisma — za wkładki i prenumeraty adresować należy: Adolf Mussil ul. Kar. Ludwika 7

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt.

Redaktor: Dr. Józef Limbach.

Sprawy Towarzystwa.

Sekretarz tow. stara się zawsze każdą notatkę dziennikarską, donoszącą o dręczeniu zwierząt, o ile dojdzie ona do jego wiadomości zbadać, by ewentualnego winowajcę pociągnąć do odpowiedzialności karnej. Często jednak zdarza się, że notatka taka polega na mylnej informacyi. Oto n. p. w październiku doniosło Słowo polskie o znęcaniu się nad psami przy ul. Kościuszki pod l. 5. Sekretarz spowodował śledztwo policyjne.

Poniżej przytaczamy komunikat Dyrekcyi Policyi:

L. 38260/03
IV.

Lwów, dnia 15. grudnia 1903.

Do Szanownego Wydziału Gal. Towarzystwa ochrony zwierząt
we Lwowie pl. Bernardyński l. 7.

Odnośnie do tamtejszego pisma z 6. października b. r. zawiadamia się Szanowny Wydział, że notatka w „Słowie polskiem“ z 6. października b. r. o znęcaniu się nad psami w domu przy ul. Kościuszki pod l. 5. opierała się na informacyi, udzielonej powyższemu czasopismu przez Paulinę Hasklową, kasyerkę

w księgarni Dobrzyńskiej w Stanisławowie i tam zamieszkałą atoli tutejsze dochodzenia nie stwierdziły prawdziwość notatki powyższego dziennnika.

Oddział w Jaśle przesyła nam następujące sprawozdanie:

Protokół spisany w dniu 31. grudnia 1902 na posiedzeniu Wydziału Towarz. pod przewodnictwem Pana Antoniego Kleczkowskiego, w obecności P. P. Matuszewskiego, Dworzaka, Gerlego i Stegera.

Zestawienie.

Dochody za rok 1902.	K	h.
1 Pozostało gotówką z roku 1901 na rok 1902	18	34
2 Od członków za cały rok wpłynęło jakoteż i długu	185	„
Razem	203	34

Rozchód.

1 Do Galic. Towarz. ochrony Zwierząt we Lwowie	150	—.
2 Kursorowi za całą roczną usługę	8	—
3 Za marki papier portorya	7	9
4 Jako kolęda dla policyi, kursorowi, ogrodnikowi miejskiemu, fiakrom i woźnicom, za utrzymanie w dobrem stanie koni i pielęgnowanie tychże	14	—
5 Jako nagrodę policyi za zatrzymanie żydowi okaliczonych koni	1	—
6 Dla głodnych ptaszków na żywność zimową	4	—
Razem	184	9
Pozostaje gotówką na rok 1903	18	25
Członków było w roku	1902 —	107
ubyło		39
Pozostało na rok 1903		68

Jasło dnia 31. grudnia 1903.

Prezes
Antoni Kteczkowski.

Fizyologia wyścigów
w ich stosunku
do krajowej hodowli koni

przez
Dra Juliana Ochorowicza,
kandydata nauk prz rodniczych.

(Ciąg dalszy).

VII.

Przeszkody. — Jeźdźcy krajowi.

Najbardziej dostępnemi dla przypadku są gonitwy z przeszkodami Publiczność to rozumie i nie ma pretensyi, gdy jej faworyt, zawadziwszy o przeszkodę albo odmówiwszy skoku, przegra wyścig.

Ale nie idzie za tem, żeby ten hazard, tutaj z konieczności największy, jeszcze bardziej potęgować, narażając w dodatku życie jeźdźców.

W ostatnich czasach na naszym torze *podwyższono przeszkody*. Po co?

— Bo przeszkody — odpowiadają mi sportsmeni — albo muszą być poważne, albo przestaną być przeszkodami.

Zgoda; ale *poważne*, to znaczy przedewszystkiem *rozsądne* Rozumiem, że w cyrku popisują się konie skaczące wyżej od innych, ale w cyrku niema przeszkód niebezpiecznych; a powtórę wyścigi to nie cyrk! *Steeple-chase'y* są doskonałym wynalazkiem; lepiej niż biegi płaskie rozwijają one w koniu całą muskulaturę, wzrok tak zaniedbany u koni cywilizowanych, siłę i zręczność — w jeźdźcu zręczność i wytrwałość. Ale to wszystko da się uskutecznić bez rozmyślnego narażania życia i jeźdźca i konia.

Dość wysokie, ale uginające się płoty, dość szerokie, ale niezbyt głębokie rowy, bądź suche, bądź z wodą, najzupełniej wystarczają do okazania, iż dany koń nie lęka się umiarkowanej zapory i że dany jeździec umie go prowadzić na przeszkody.

Natomiast wszelkie mury, parkany, wały i żerdzie należałoby zostawić w polu dla specyalnych amatorów średniowiecznych ćwiczeń karkołomnych.

Pytam się, jaki stąd pożytek, że naprzykład w jednym z ostatnich *steeple-chass'ów* klacz „Willisa“, zawadziwszy o parkan z desek, upadła i zdarła sobie łopatkę, narażając wytrawnego jeźdźca p. Karnickiego na skręcenie karku? Rozumiem ryzykować życie, ale nie w takiej sprawie!

Wiem, co mi odpowiedzą sportsmeni: „gdzieindziej są jeszcze wyższe przeszkody!“ Ale to mnie wcale nie wzrusza. Piszę przeciwko dzisiejszym wyścigom w ogóle, a nie wyłącznie, naszym; gdyby mi wystarczało to, że gdzieindziej jest tak samo albo jeszcze gorzej, tobym wcale nie pisał.

Podwyższono przeszkody a jednocześnie skrócono dystanse Otóż każdemu umiejącemu obserwować wiadomo, że:

1) im wyścig jest krótszy, tem szybsze jest tempo:

2) im wyższe przeszkody, tem wolniejszem musi być tempo*).

Czyli że podwyższanie przeszkód, przy jednoczesnem skracaniu dystansów jest sportową nielogicznością.

Jeszcze w roku zeszłym gonitwa z przeszkodami imienia Al. Wotowskiego, odbywała się nc dystanse 4-ch wiorst“ (W podobnym biegu 2—-wiorstowym, w ostatnim sezonie, grzewróciły się albo zgubiły jeźdźca trzy konie na raz. Czy nie za dużo?

Jeżeli tak dalej pójdzie, obawiam się, że za lat parę będziemy mieli *steeple-chass'y* na pół wiorsty z osobnym totalizatorem od każdego płotu...

Mojem zdaniem, potrzeba:

1) znieść gonitwy z przeszkodami krótsze od 3-wiorst. zamieniając je na dłuższe:

2) wyłączyć z nich trzylatki, gdyż te nie mogą jeszcze dobrze skakać i łatwo ulegają przypadkom;

3) oddalić ostatnią przeszkodę od celownika, ażeby właściwy wyścig odbywał się dopiero przed metą.

W ten sposób zapobiegnie się zbyt szybkiemu tempu, które głównie powoduje wypadki na przeszkodach. Totalizator na tem cośkolwiek ucierpi, ale ludzie i konie zyskają.

A propos ludzie:

---

*) „Wogóle za regułę przyjąć można: czem wyższa przeszkoda tem wolniejsze tempo — czem szersza, tem szybsze tempo“. (Stipala „Nauka jazdy konnej“. Lwów, 1896, str. 229).

Czy protegując niską wagę dżokiejską, nasze Towarzystwo myśli przynajmniej o wyrobieniu dżokiejów krajowych? Ani mu to w głowie! Od czasu, jak istnieją u nas wyścigi, nie wiem, czy wykształciły one pół tuzina jeźdźców, a przecież byłaby to jedna więcej gałęż zarobku dla młodych ludzi, odpowiednio uzdolnionych, zarobku, który niepodzielnie zagarniają cudzoziemcy. Dlaczego się tak dzieje? Wszakże jeżeli czego to dobrycy jeźdźców u nas nie brakowało?

Zaraz to objaśnię: dżokieje krajowi nie mogli się wyrobić bo:

1) przy dzisiejszych wagach potrzeba być karłem, ażeby módz jeździć w biegach dżokiejskich, a karłów, dzięki Bogu jeszcze tak wielu nie mamy!

2) ponieważ panuje u nas przekonanie, że Anglik, chociażby wypędzony z Anglii, będzie zawsze lepszym jeźdzcem od krajowca. (Ażeby nie drażnić uszu sportowych, dżokiej Kwiatkowski przezwał się Punchsem);

3) ponieważ między dżokiejem a chłopcem stajennym jest przepaść, którą tylko odpowiednia szkoła i częste ćwiczenia wyrównać może.

A tymczasem przy układaniu planu gonitw nikt nie pomyśli o tem.

W ostatnim sezonie naprzykład na 54 biegi programowe mieliśmy 4. wyraźnie *cztery* dla jeźdzców krajowych. Jakimże sposobem mają się wyrobić? Między dżokiejów nikt ich od razu nie puści, bo by dobrowolnie zmniejszał szanse swego konia.

Cóż więc robić?

Sądzę, że należałoby liczbę gonitw dla jeźdzców krajowych z *każdym rokiem powiększać.*

Dotychczas wymyślono dla jeden tylko paragraf.

Brzmi on tak:

„20. W nagrodach Towarzystwa, przeznaczonych dla jeźdzców krajowych, dopuszczani są tylko jeźdzcy, którzy jeszcze nie wygrali pięćdziesięciu pierwszych nagród.“

Na co to ograniczeuie? Przypuszczam, że podyktowało je dobre serce: chodziło o to, żeby już wyrobiony jeździec nie odbierał szans niedoświadczonym chłopcom. Ale jak się owi chłopcy mają uczyć, jeżeli nie jeżdżąc obok jezdźca wytrawnego? A powtóre, czy pomyślano o tem, że wyłączając takiego, który wygrał 50 nagród, pozostawia się takiego, który wygrał 40 i który jeżdżąc częściej, może być nawet wytrawniejszym dżokiejem?

Trzymając się tej protekcyjnej zasady, trzebaby wogóle wyłączać lepszych jeżdzców, ażeby nie bróździli gorszym, zarówno krajowym. jak i zagranicznym: odznaczyłeś się kilkakrotnie — fora ze dwora!

(C. d. n.)

Mamut z nad Kołymy.

W kwietniu 1901. doniósł gubernator prowincyi jakuckiej w Syberyi akademii petersburskiej, że w odległości 320 km. od miasteczka Sredni Kołymsk, niedaleko potoczku Berczówka znaleziono zwłoki dobrze zachowane mamuta.

Według relacyi kozaka Jawłowskiego, który pierwszy go zobaczył, miał on być w znacznej części pokryty lodem i śniegiem i prawie nie uszkodzony. Był to rzadki wypadek odkrycia zwierzęcia w tak dobrym stanie tak, że można było nabrać wyobrażenia nie tylko o kształcie, ale nawet o sprawie żywienia się, bo i żołądek musiał być jeszcze nietknięty i zawierać ostatni pokarm olbrzyma [1]).

Nie chcąc, by ten drogocenny okaz zmarniał, jak ów odkryty w roku 1799. przez Szumahowa, nie wahała się akademia ani chwilki i natychmiast urządziła wyprawę w te dalekie kraje celem wydobycia i konserwacyi mamuta — mimo wszelkich trudności, które się nastręczały. Trzeba było przedostać się przez całą prawie Syberyę, bo owe miasteczko leży pod 67° 32' półn. szerokości więc już w wysokiej północy niedaleko ostatecznych kończyn szyi. Pieniędzy dostarczyło ministeryum finansów, a kierownictwo objął Dr. Herz, dyrektor muzeum zoologicznego.

Wyprawa wyruszyła z Petersburga w maju 1901. Aż do Irkucku posługiwano się koleją sybiryjską. Stąd trzeba było użyć już innych środków lokomocyi, tu wielkiego wyboru nie było, bo w tym względzie rozstrzyga pora roku, łódź w lecie, sanie w zimie. Tak łodziami przeważnie dotarli w maju do Jakucka, stąd do Werchorańska i nareszcie stanęła wyprawa w Srednim Kołymsku. Było to już 24. sierpnia 1901.

Tu zobaczył Dr. Herz jeden siekacz mamuta, który był odpiłował jakiś Jakuta. Ważył on około 21 klgr. i był długi na

[1]) w żołądku znaleziono 72 kg. trawy.

1 m. 75 cm. u podstawy 0·40 m. w obwodzie. Jest to siekacz miernej wielkości i często znachodzą w tym kraju daleko większe, Właśnie w poszukiwaniu za nimi odkryto całe zwłoki mamuta.

Przybywszy do Średniego Kołymska, wysłał Dr. Herz zaraz na miejsce odkrycia kozaka Jawłowskiego, by strzegł zwłok. Kozak ten wart jest wzmianki, bo on poznał się na wartości odkrycia i złożył swej przełożonej władzy raport o tem.

Wyprawa potrzebowała 10 dni, by przybyć nad potok Bereczówki, w drodze Dr. Herz sprawdził w prawym brzegu istnienie wielkiej liczby kości bizonów, renów, jeleni kopalnych, jednak w takim stanie, że trudno było z nich korzystać.

Zwłoki mamuta znachodziły się w odległości 213 km. od brzegu, pokryte więcej niż w połowie śniegiem i lodem. Głowa i lewa noga była widoczna, ale były one nadgryzione przez dzikie zwierzęta, skóra z czoła zwisała na szczęki. Zabrano się do odkopania całego mamuta i wkrótce można było wyobrazić sobie pozycyę, w której śmierć go zaskoczyła. Przednie nogi były podwinięte pod ciało, a tylnie były wyprostowane także pod ciałem. Zdaje się, że zwierzę zranione, lub chore, pośliznęło się na swych tylnych nogach z pagórka i z robiło nadaremne wysiłki przedniemi nogami, by powstać i tak zakończyło życie.

Było to zwierzę długie na 3 m., o wysokości 2 metrowej. Na karku miało dość gęstą grzywę, a zresztą było pokryte włosem welnistym koloru rudawego. To pokrycie ciała świadczy dokładnie o przystósowaniu mamuta do klimatu. Ogon podobny był do ogonu wołu, lecz długość jego wynosiła zaledwie 22 cm. i pokryty był włosem długim do 10 cm. Dr. Herz próbował w prowizorycznem swem mieszkaniu tam na miejscu rozgrzewać niektóre części mamuta, w szczególności n. p. ogon, by przymarzłe włosy odtajały, ale niestety nie udało mu się to, bo włosy się odrywały, a skóra rozłaziła. Ten rezultat nie był miły, bo można się było spodziewać, że skóra nie da się zakonserwować.

W październiku był już mamut cały odgrzebany i można było myśleć o transporcie. Nie można było podnieść tak ciężkiej masy, trzeba było pokrajać ją na kawały pojedyncze, które umieszczano w wory, notując skrupulatnie zawartość a tak lokowano, by później jaknajprędzej złożyć w całość. Całość pakunków przedstawiała ciężar dochodzący do 1600 klg. wagi. Trzoba było 12 koni, by to wszystko przytransportowano do Sredniego Kołymska, gdzie wyprawa stanęła 25 listopada. To była pierwsza

stacya z powrotem. Trzeba było miesiąc czasu, by osiągnąć Jakuck, gdzie przybyli 26. grudnia, Stąd wyruszyli 16. stycznia, 6 lutego przybyli do Irkucka i nakoniec 18. lutego była wyprawa z powrotem w Petersburgu.

Powrót do Irkucka nie odbył się bez niebezpieczeństw, raz z powodu koni, które ze znużenia wymawiały posłuszeństwo, a potem z powodu mrozu, który dochodził do 50° niżej 0°. To gnało Dr. Herza naprzód z obawy, by nie nastąpiła odwilż i nie powodowała psucia się mamuta.

Wyprawa trwała 10 miesięcy, zrobiono ogółem 10.000 km a połowę tej drogi przebyto końmi.

W Petersburgu wzięto się do konserwacyi, co wzmaga dłuższego czasu, chcąc uratować skórę i zwierzę wystawić na widok publiczny w stanie, któryby dawał dobre pojęcie o tym olbrzymie.

pr. L.

Przygoda karnawałowa misia Toma.

Opowiedział z angielskiego

Tadeusz Krak.

(Dok.)

Gdy po raz drugi przeszli przez westybul, poczęli ludzie koło nich gromadzić się i za nimi chodzić. Finezya z jaką jedna z obu przybyłych masek naśladowała chód i ruchy zwierzęcia. którego skórę na się zawdziała, zwróciła na się uwagę kilku miłośników przyrody. Przybliżano się tedy do niej coraz bardziej i aby usłyszeć, czy mniemana maska również dobrze naśladuje głos niedźwiedzia, szarpano ją za włosy i łechtano po uszach

— Hmmgrrruaa! — rzekł Tom.

Szmer podziwienia przeszedł przez szeregi otaczających; — naśladownictwo było doskonałe. — Prawdziwy z niego niedźwiedź — mówili widzowie.

Fan poprowadził misia *Toma* do bufetu i zafundował mu kilka ciastek ktore *Tom* z taką żarłocznością połykał, że widzowie wybuchli głośnym śmiechem. Następnie podał *Fan* swemu towarzyszowi wielki puhar wody ocukrzonej, którym *Tom* przyjął z wdzięczną radością, a wziąwszy między przednie łapy, na jeden łyk wychylił całą zawartość jego. Teraz entuzyazm wi-

dzów nie miał końca. Uniesienie i podziw były tak wielkie, że gdy *Fan* chciał bufet opuścić, nie mógł ani on ani *Tom* wydobyć się z ogromnego ścisku, jaki się naokoło z nich zrobił. Ponieważ *Fan* obawiał się, by *Tom* nie wpadł przypadkiem na koncept popisywania się swemi pazurami i zębami w celu utorowania sobie drogi przez tłum widzów, zaprowadził go tedy do kąta, oparł plecami o ścianę i rozkazał mu aż do dalszego rozporządzenia stać na warcie.

Tom, jak już powyżej wspomnieliśmy, był do podobnych sztuczek przyzwyczajony. Dla dogodności usiadł sobie na tylnych łapach, a jakiś arlekin zawdział mu na głowę swój kapelusz, dawszy mu do przednich łap trzonek od miotły, który z wielką powagą przyciskał do swych piersi.

Może wiecie — zapytał *Fan* dowcipnego arlekina, — komu pożyczyliście swego kapelusza?

— Nie — odpowiedział tenże.

— Przypatrzcie się mu bliżej i dokładniej! Czy nie możecie z wdzięku wszystkich jego ruchów, tudzież z sposobu w jaki przechyla głowę lekko w jednę lub drugą stronę poznać, lub domyśleć się, kim on jest?

— Słowo honoru daję, nie mogę odgadnąć.

— Powiem wam, — rzekł *Fan*, — ale po cichu do ucha To jest *Odry*, sławny komik w swoim kostyumie z nowej farsy p. t. Niedźwiedź baszy!

— O, tak, ale proszę, tam przychodzi niedźwiedź biały!

— Słusznie macie. Ale dla niepoznania przebrał się i pojawił tutaj jako niedźwiedź brunatny.

— Ha, ha! ale to doskonała rzecz!

— Hmgrrruaa! — dorzucił *Tom*.

— Ach, tak, — rzekł arlekin — teraz, gdyście mi na to zwrócili uwagę, poznaję go po głosie. Dziwna rzecz, że mnie to wprzódy nie wpadło na myśl. Proszę mu powiedzieć, że powinien głos zmienić, gdyż się łatwo nim zdradzi.

— No, tak — rzekł *Fan*, zwróciwszy kroki ku sali, — ale ja sądzę, że mojej rady nie usłucha. Z tem wszystkiem atoli nie wiem, czy go namówię do menueta.

— Czy moglibyście to zrobić?

— Tak jest, przynajmniej obiecał mnie to. Zrobicie mi wielką przyjemność, jeżeli zwrócicie uwagę swoich znajomych aby go nie molestowali i nie drażnili.

— Z największą chęcią.

Otaczający tłum zrobił miejsce *Fanowi* a uradowany arlekin począł jednej masce po drugiej opowiadać nowiny i wkońcu prosił, aby względem jegomościa w kostyumie niedźwiedzim przecznie się zachowywali. W tej chwili właśnie zabrzmiała orkiestra i dały się słyszeć pierwsze takty wesołej galopady; wszyscy też jakby różdżką czarodziejską tknięci opuściwszy bufet pomknęli do sali balowej; jedynie arlekin pozostał przy *Tomie*, szeptając mu z przymileniem do ucha:

— Piękna maseczko, ja cię znam.

— Hmgrrruaa! — odrzekł *Tom*.

— Dość będzie już twego mruczenia; możebyś stary druhu zatańczył monueta?

Tom kiwnął na to głową, a arlekin cichą jego odpowiedzią zadowolony, pospieszył na salę, aby sobie uprosić tanserkę do zamierzonej galopki.

Tymczasem miś *Tom* pozostał w bufecie wraz z służbą. Nie poruszając wcale, siedział sobie w kącie, ale od czasu do czasu spoglądał okiem łaknącem na stół, zastawiony ciastami, których zapach drażnił jego powonienie a widok apetyt. Usługujący domyślili się jego zachcianek i aby gościowi usłużyć, podali mu jeden z półmisków.

Tom nie krępując się niczem, wyciągnąwszy łapę, brał jedno ciastko po drugim z półmiska i zjadał z wielkiem zadowoleniem; a ku wielkiej uciesze kelnerów w krótkim czasie spałaszował trzy wielkie półmiski ciast.

Galopada skończyła się; miś *Tom* pokrzepił się, a arlekin przyprowadziwszy dwie tancerki, gołąbkę i owczarkę, przed *Toma*, przedstawił mu je do menueta, a sam jako dobrze zaufany przyjaciel szeptał temu Pseudo *Odreum* słówka grzeczności do ucha, na co *Tom*, udobruchany łakociami i w dobry humor niemi wprowadzony, pomrukiwał i głową pretensyonalnie kiwał to w jednę, to w drugą stronę. Arlekin udał się następnie na galeryę sali balowej, skąd ogłosił, że na ogólne żądanie maska niedźwiedź odtańczy menueta. Wiadomość tę przyjęto burzą oklasków. Owczarka wzięła tedy *Toma* za jednę łapę, a gołąbka za drugą. *Tom* kroczył nader majestatycznie między oboma damami jak skończony kawaler, spoglądając jednak z pewnem zdumieniem to na jednę, to na drugą tancerkę; wreszcie stanął na środku sali. Widzowie zajęli swe miejsca, jedni w krzesłach

drudzy w lożach, inni zaś na galeryach. Większość atoli stanęła kołem naokoło tańczących. Muzyka zagrała.

Taniec „menueta“ był najszczytniejszym popisem *Toma* a zarazem sztuką mistrzowską p. *Fana*, który go wyuczył. Już po pierwszych krokach zyskał *Tom* pochwałę. Po każdym noruchu podziw widzów wzrastał, a w ostatniej figurze nie było końca oklaskom Oprowadzono tedy *Toma* w tryumfie po sali i zaprowadzono do jednej z lóż, gdzie owczareczką zdjąwszy z siebie wieniec z róż, uwieńczyła nim p. *Toma* wśród oklasüów publiczności.

Tom, ozdobiony różowym wieńcem. przechylił się poza lożę z wielką gracyą, jakby ukłonem dziękował za hołdy mu składane. W tej chwili dały się słyszeć pierwsze takty nowego tańca; wszystko pospieszyło na salę, aby angażować panie do niego. Jedynie kilka tancerek pozostało w pobliżu wschodzącej gwiazdy *Toma* w oczekiwaniu, że zwróci na jedną z nich uwagę i poprosi do tańca, ale p. *Tom* pomrukując zrezygnował z dalszych trudów choreograficznych. Trochę to było niemiło dla wyczekujących, ale widząc oziębłość p. *Toma*, nieznacznie usunęły się od niego, zmieszawszy się w tłumie tańczących

W godzinę później p. *Tom* znajdował się sam w loży. Godzina rozejścia się nadchodziła. Powoli środek sali opróżniał się również loże opustoszały, a słaby brzask poranka lutowego wciskał się do sali przez okna do sali balowej. Wtem usłyszała dozorczyni lóż potężne chrapanie wychodzące z jednej loży, otworzyła tedy drzwi i ku wielkiemu swemu zdziwieniu spostrzegłe misia *Toma*, który po tak świetnie przebytej nocy spablogim snem na podłodze. Dozorczyni weszła do loży i zawiadomiła go, że 6 godzina rano i wielki już czas udać się do domu.

— Hmmmgrrrruaaa — rzekł *Tom*.

— Bardzo pięknie, bardzo pięknie; ale tu ani miejsce ani czas na takie wynurzania się. Znamy już, panie *Odry*. Teraz gaszę światła po ulicach. Czy mam posłać po doróżkę?

— Hmmmgrrruaaa.

— Chodź, pan, chodź! Odeonu nie jest ani hotelem, ani gospodą. Pan musisz stąd iść precz! — Jakto? — ach! jeszcze to do tego! Fe, panie *Odry*, fe! Zawołam straż; inspektor jeszcze nie śpi. Ach, tak? — Więc nię chcesz pan pójść po rozum do głowy? Co? Pan chcesz mnie kąsać? — mnie dziewczynę? —

jeszcze do tego byłą artystkę, panie Odry? A to bardzo pięknie z pańskiej strony! Wstyd, hańba, szkandał! Ale zobaczymy zaraz panie Odry! Na pomoc! na pomoc tutaj! policya! inspektorze, na pomoc!

— Co tu się dzieje? — zapytał na służbie stojący strażnik pożarny.

— Na pomoc! — wola dozorczyni lóż.

— Cóż takiego? — pyta sierżant dowodzący strażą policyjną.

— Ach tutaj, Fraucesse woła w jedej z lóż o pomoc, — odrzekł strażnik.

— Już idziemy! — odezwał się sierżant.

— Tutaj, panie sierzancie, tutaj! — wołała zrozpaczona dozorczyni.

— Bardzo dobrze, moja luba pani, otóż jestem; gdzie pan jesteś? Tu całkiem ciemno.

— Wejdź pan śmiało; nie ma żadnych schodów. Tu na lewo, tu w kącie on leży ten chłystek, ten nikczemnik! A jak mocny ten łajdak, — jak turek!

— Hmmmgrrrkaaa! — zauważył Tom.

— Słyszysz go pan? — Czy to jest katolicka mowa?

— Chodźcie, chodźcie, mój przyjacielu! — rzekł sierzant, któremu teraz dopiero udało się przy słabem świetle porannem dostrzedz Toma, siedzącego w kącie i złowrogo nań patrzącego Wszyscy rozumiemy dobrze, co to znaczy młodość; nikt lepiej odemnie nie rozumie się na żartach, ale przepisy są przepisani a ustawy ustawami! Bal maskowy skończył się już przed trzema godzinami, jest więc najwyższy czas, aby pan dobrodziej poszedł do domu. Marsz! tylko raźno!

— On nie chce iść, panie sierżancie!

— Tak? nauczę ja cię chodzić, jeżeliś zapomniał. Na co są kolby? Jedno lub dwa uderzenia po żebrach dobrze ci zrobią

— Hmmgrrruaaa, — hmmmgrrruaaa —hmmgrru.

— Tak mój panie, jeszcze trochę tego lekarstwa z tej samej flaszki — rzekł sierzant, puszczając dobrą sojkę Tomowi pod żebra.

Hmmgrrrnaaa!

— Sierzancie, — zauważył jeden ze służby — jabym się założył, żeto prawdziwy niedźwiedź — rzecze sierżant — trzeba

z im postępować ostrożnie, ba właściciel jego mógłby żądać od-szkodowania. Ja nie myślę narażać swojej kieszeni. Idź i przynie latarnię ze strażnicy.

— Proszę — rzekł gwardzista — tu jest latarnia!

— Oświeć-że nam tego nicponia!

Żołnierz przystąpił z latarnią i oświetlił pana Toma.

— Boże — co prawdziwy, z góry niedźwiedź? — zawołała dozorczyni i dalej w nogi.

— Tak jest, prawdziwy, z góry niedźwiedź! Popatrzmy, czy nie ma na szyi adresu? Przypuszczam, że ma gdzie jaki znak wypalony; wrzawa i światła sali balowej podczas maskarady, tudzież towarzyskie usposobienie jego ściągnęły go tutaprawdopodobnie!

— Hmgrrraaa!

— Słyszycie dobrze? Przyznaje to sam.

— Stój — zawołał jeden z żołnierzy.

— Cóż takiego?

— Pod szyją jego wisi mała puszka blaszana.

— Otwórz ją!

— Jest tu karta wizytowa.

— Czytajcie.

Zołnierz podszedł pod latarnię i przeczytał: Moje imię jest Tom i mieszkam przy ulicy Faubourg, H. Denis, nr. 119. Mam pięć franków w pugilaresie, 2 franki dla dorożkarza, a 3 dla tego, co mnie do domu odprowadzi.

— Tak jest; jest tu 5 franków! — rzekł sierzant! — A więc dwóch ochotników dla pewniejszej odstawy.

— Jesteśmy na usługi — zawołali wszyscy.

— Nie wszyscy naraz! — zauważył sierżant, dwaj najstarsi z was niech skorzystają z tej przygody. A więc marsz z nim!

Dwóch Gwardzistów zbliżywszy się do Toma, założyło mu pętkę na szyję i kaganiec na pysk — „bo co bezpieczne, to bezpieczne“ — rzekli i pociągnęli za sobą Toma. Biedny miś nie opierał się, bo kolba go poskromiła i uczyniła potulnym. Na jakie 100 kroków od Odeonu, rzekł jeden z żołnierzy do drugiego:

— Piękny mamy poranek, sądziłbym, że obejść się możemy bez doróżki. Przechadzka zrobi nam i jemu dobrze.

— Masz słusznie — przyznał drugi, każdy z nas będzie miał po $2^{1}/_{2}$ franka zamiast $^{1}/_{2}$.

Po upływie godziny stanęli na ulicy Faubourg St. Denis przed domem Nr. 109. Po dłuższem pukaniu pojawiła się przy bramie zaspana gospodyni domu.

— Przypatrzcie się, łaskawa pani, temu wagabundzie! Czy to wasz lokator? Poznajecie go?

— Tak jest, to przecież niedźwiedź pana Decampsa.

Tego samego dnia otrzymał pan Odry, znakomity komik paryski, rachuneczek na 3 franków 50 centymów za spożyte ciastka.

Automobil zwierzęcy.

„La Nature" czasopismo naukowe francuskie, podaje w jednym numerze ustęp wyjęty z pamiętników podróży, a ustęp ten wskazuje nam jak inne kraje umieją cenić pracę zwierząt i jak je szanują.

„Powracając z długiej podróży po Indyach opisałem w moim pamiętniku, ciekawy zakład, założony przez Indusów w mieście Bombay. Jest to *szpital dla zwierząt*, który służy także jako schronisko dla starych zwierząt i ptactwa różnego rodzaju. Biedne czworonogi, które oddały często mnóstwo usług człowiekowi są dobrze i starannie żywione do końca życia w „Pinjrapoolu" (nazwa szpitala) a ich dawni opiekunowie składają małą opłatę roczną, umieją wypełniać swoje obowiązki względem starych sług. Ten przykład litości jest mało naśladowanym w Europie gdzie nie opiekuje się już zwierzętami gdy przestały człowiekowi służyć.

Oto nowy sposób o którym mówi „Scifitienc American" sposób ten użyty na usługi zwierząt jest całkiem nowy i zastosowany ściśle do mody. Automobil bywał używany do różnych celów ale chyba tylko w Cleeveland wpadnięto na myśl użyć go jako ambulatoryum dla zwierząt. Dr. Stanifath znany w tem mieście z swej litości dla zwierząt założył w Cleeveland szpital dla psów i kotów. Automobil, który mu służy do transportowania chorych zwierząt do szpitala jest podobny z kształtu do zwyczajnego jednak na przodzie ma rodzaj klatki, a ściany tejże są dziurawione dla przystępu powietrza. Dolna część klatki jest dla

psów górna dla kotów. Każdy przedział jest zaopatrzony w naczynia z wodą i z żywnością. Codziennie wyjeżdża doktor z tym automobilem by zbierać chore czworonogi, a pomagają mu w tem dwa buldogi, które podczas jazdy siedzą na przodzie automobilu, i które wyszukują swoich chorych współbraci.

Tł. A. L.

Rozmaitości.

Małpa mordercą. W ogrodzie zoologicznym w Wrocławiu wydarzyło się przed kilku dniami straszne nieszczęście

W klatce małpiej zachorował nagle wielki pawian. Weterynarz Józef Stein, zlecił opiekę nad pacyentem pietnastoletniemu posługaczowi.

Gdy ten pewnego dnia wszedł do klatki. aby podać małpie lekarstwo, zwierzę rzuciło się z wściekłością na posługacza i przegryzło mu tętnicę na szyi.

Wszelka pomoc okazała się daremną. Służący zmarł wskutek upływu krwi.

Pawiana zabito, a przy sekcyi stwierdzono, iż był wściekły.

(Wiek nowy).

Rakarz i policyant. Wszyscy wiemy, że z polecenia magistratu ma za budką rakarską postępować stójkowy, dodany mu do asystencyi. Rzecz naturalna, że nie powinien być od parady: Nikt nie zaprzeczy, że mu wolno wkroczyć, jeżeli widzi, że ktoś wkracza w prawidłową czynność rakarza i mu w wykonywaniu tejże przeszkadza, Obowiązki jego jednak sięgają dalej. Ma on czuwać, by rakarz w granicach go obowizujących działał; ma przeszkodzić, gdy ten chce łapać psa na chodniku, lub w bramie domu, ma starać się, by nie było zbiegowiska, by rakarz nie jechał w pobliżu szkół, gdy dzieci idą do szkoły, lub ją opuszczają.

Otóż mnożą się skargi, że rakarz właśnie tak nie postępuje, a stójkowy milcząco daje na to swe pozwolenie. Osobliwie razi publiczność ta okoliczność, że oprawca nie waha się wejść na chodnik i tu wśród nóg przechodniów łapie psy; często towarzyszą oprawcy młodzi chłopacy, którzy robią sobie sport z tego, by rozpędzać psy rakarzom; nie wchodzimy w to, czy to robią z własnej woli, czy też za opłatą. Stójkowy stanowczo tu powinien interweniować, chociażby ze względu na ludzkość, by chłopacy nie zaprawiali się do rzemiosła, bądź co bądź dla młodych nie stosownego. Co gorsza skonstatowano fakt, że stójkowy nawet wtedy nie wkracza, gdy za rakarzem pędzi gromada uczniów, którzy zamiast ze szkoły wprost do domu dążyć, lecą za oprawcą, by być świadkami łowienia psów. Tu stanowczo powinien stójkowy ostro wziąć się do takich chłopców i ich rozpędzić, bo obowiązkiem jego jest na wszystko baczyć a nie iść tylko poważnie za rakarzem. Polecamy to uwadze magistratu który tu ma głos decydujący.

Dręczenie zwierząt. Właściciel piekarni w ulicy Żółkiewskiej Kalman Kalb — należy do tych ludzi, którzy stale bywają karani za używanie okaleczałych koni do zaprzęgu. Jak tylko na inspekcyi policyjnej pokaże się doniesienie o dręczeniu zwierząt, można już naprzód przypuszczać, że na doniesieniu tem figuruje nazwisko Kalba. W policyi Kalb jest dobrze znany z dręczenia koni, ale także z wykrętów, których stale używa, by uratować siebie od grzywny. Ot i niedawno, gdy sprowadzono na policyę konia Kalba, którym parobek jego Kowalczuk rozwoził pieczywo po Lwowie, mimo, że koń ten z powodu ran na nogach ustać nie mógł, Kalb „robił niewiniątko" i udawał, że parobek zaprzągł konia bez jego wiedzy. Mimo tego tłómaczenia skazano Kalba na 30 koron grzywny, a konia oddano do komisaryatu dzielnicy drugiej.

Kot spadkobiercą. Pewna bogata Francuzka w Bulogne-sur-Seine, pani Petit, zapisała cały swój majątek zakładowi sierot, testament jednak zaopatrzyła w następujące potanowienie: „Pragnę, aby ze sprzedaży moich kosztowności użyto roczniel 50 franków na utrzymanie małego zwierzątka, które pozostawiam, a mianowicie czarnego angorskiego kota. Osobie, którą się tem zajmie, należy wypłacać po $37^1/_2$ franka kwartalnie. Po zgonie kota renta ta przypada zakładowi sierót".

O pożyku wron. Pytanie, czy wrona w gospodarstwie jesto szkodliwym czy pożytecznym ptakiem? było wielokrotnie roztrząsane. Odpowiedź na nie dał dopiero w zeszłym roku pewien doktor niemiecki, który w tym celu zbadał 131 żołądków wron. Otóż znalazły się w nich resztki: z 17 myszy, 4 mięczaków, 207 chrząszczy, 6 motyli, 5 pająków, 2 stonóg i 7 gąsienic; oprócz tego części roślinne.

Zauważenia godną jest tu przeważna zawartość żołądków z części zwierzęcych; tylko dwa żołądki były bez resztek zwierzęcych, podczach gdy 34 żołądki zupełnie części roślinnych nie zawierały. Z części roślinnych były szczególnie ziarna: pszenicy jęczmienia i owsa, oraz czereśnie, w wielu wypadkach w wielkiej ilości.

Z części zwierzęcych, jak widzimy, odpada główna część na chrząszcze, między którymi oprócz gospodarstwu nieszkodliwych lubwprost pożytecznych rodzajów, była także wielka ilość, rozwojowi roślin szkodliwych gatunków, jak: chrząszczów majowych, pędraków, wołków i t. p.

Na podstawie powyższego zbadania okazuje się, że wrony nie należy uważać dla gospodarstwa za wyłącznie pożytecznego ptaka, chociaż nawet przez pożytek, jaki przynosi, tępiąc szkodniki polne, a który to pożytek przewyższa szkodę, jaką przynosi w czasie zasiewu, za pożytecznego gospodarstwu ptaka uważaną być może

Ażeby zaś w czasie zasiewu uchronić ziarna przed wronami, można je skrapiać mieszaniną ze smoły i nafty w ciepłej wodzie, przez co uniknie się zlepienia ziarn. W ten sposób skrapiane ziarna będą zupełnie od wron zabezpieczone, bo ptaki te nie znoszą nieprzyjemnego im zapachu tej mieszaniny.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie.